

Jan Brzechwa

Akademia

Pana

Kleksa



**K** Kolorowa  
Klasyka



Jan Brzechwa

# Akademia Pana Kleksa



ilustracje: Mikołaj Kamler



**Jan Brzechwa**  
**Akademia Pana Kleksa**

Redakcja:  
Agnieszka Antosiewicz

Korekta:  
Agnieszka Antosiewicz  
Maria Zagnińska

Ilustracje i opracowanie graficzne:  
Mikołaj Kamler

ISBN 978-83-7517-446-5

© Copyright by Spadkobiercy Jana Brzechwy

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.  
2025

Wydawnictwo GREG®  
ul. Klasztorna 2B  
31-979 Kraków  
tel. 12 680 15 50  
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: [www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.  
Wszystkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana  
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Skład i łamanie:  
Pracownia Register





## Ta oraz inne bajki

Nazywam się Adam Niezgódka, mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udawało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdążyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na sam mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdążyłem ich dotknąć. Nie nosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa. Akademia mieści się w samym końcu ulicy Czekoladowej i zajmuje duży trzypiętrowy gmach, zbudowany z kolorowych cegiełek. Na trzecim piętrze przechowywane są tajemnicze i nikomu nieznanne sekrety pana Kleksa. Nikt nie ma prawa tam wchodzić, a gdyby nawet komuś zachciało się wejść, nie miałby którejdy, bo



– No, Adasiu, teraz pora na nas, pewno jesteś już bardzo głodny. Powiedz, co chciałbyś zjeść na obiad? Możesz sobie wybrać każdą potrawę, na jaką masz apetyt.

Z natury jestem bardzo łakomy, toteż propozycja pana Kleksa poruszyła mnie ogromnie. Długo zastanawiałem się nad tym, na co mam właściwie apetyt, i wreszcie wybrałem sobie omlet ze szpinakiem.

Pan Kleks natychmiast porwał w dłoń pędzel, umaczał go w rozmaitych farbach i łącząc je w odpowiedni sposób, namalował omlet, potem szpinak, wrzucił do środka płomyk świecy, po czym zręcznie wyłożył wszystko na talerz, mówiąc:

– Myślę, że mój omlet będzie ci smakował; powinien być wyśmienity.

Omlet był rzeczywiście wyborny i wprost rozpląwał się w ustach.



W podobny sposób przyrządził dla mnie pan Kleks kurczaka z mizerią i pierogi z jagodami.

– A co pan będzie jadł, panie profesorze? – zapytał nieśmiało.

W odpowiedzi na moje pytanie pan Kleks wyjął z kieszonki pudełeczko z pigułkami na porost włosów, połknął pięć takich pigułek jedną po drugiej i rzekł:

– To mi zupełnie wystarczy. Natomiast dla smaku zjem sobie moją ulubioną kolorową potrawę.

Mówiąc to, zerwał kwiatek nasturcji, zanurzył go naprzód w zielonej farbie, potem w niebieskiej, potem w srebrnej, wreszcie zjadł go z ogromnym smakiem.

Ustawiłem tacę z siedmioma szklankami na trawie i nakryłem ją chustką tak, jak to czynią cyrkowi sztukmistrze.

– Coś ty narobił! – rzekł do mnie wreszcie pan Kleks. – Ukradłeś chmurę. Odtąd już nigdy nie będzie deszczu ani śniegu, ani nawet wiatru. Wszyscy będziemy musieli zginąć od posuchy i upału.

Rzeczywiście, w górze nad nami wisiał przezroczysty błękit i nagle zorientowałem się, że jest to emaliowany niebieski czajnik, zupełnie taki sam, na jakim siedział pan Kleks, tylko wielkości całego nieba. Z czajnika sączyło się na ziemię słońce, a raczej złocisty wrzątek, który parzył nas niemiłosiernie.

Pan Kleks, nie mogąc znieść takiego upału, zaczął szybko rozbierać się, ale miał na sobie tyle surdutów, że zdejmowanie ich nie miało końca. Kiedy zobaczyłem, że głowa jego zaczęła się tlić i z włosów buchnął dym, porwałem z tacy szklankę z deszczem i wylałem ją na pana Kleksa. Równocześnie lunął rzęsyty deszcz, tylko że padał tym razem nie z góry na dół, lecz z dołu do góry.

Wyglądało to tak, jak fontanna tryskająca z ziemi.

– Śniegu! – wołał pan Kleks. – Śniegu, bo spłonę doszczętnie!

Schwyciłem wobec tego szklankę ze śniegiem i wybierając śnieg łyżką, jąłem okładać nim głowę pana Kleksa.



Skutek był zdumiewający, gdyż śnieg zaczął mnożyć się z taką szybkością, że pokrył cały park. W tej samej chwili spod śniegu wyskoczyły wszystkie srebrne widelce i wirując jak opętane, zabrały się do rzucania kulami ze śniegu. W widelcach rozpoznawałem raz po raz to Artura, to Alfreda, to Anastazego, to znowu jakiegoś innego kolegę.

Widelce swoim zawrotnym tańcem w śniegu podniosły taką śnieżycę, że po prostu nic nie było widać. Wpadłem tedy na pomysł, aby śnieg zdmuchnąć za pomocą wiatru. Wziąłem więc szklankę z wiatrem, który wyglądał jak rzadki, niebieskawy krem, i wygarnąłem go jednym zamachem łyżki.

Takiego wiatru nigdy dotąd nie widziałem. Dął jednocześnie we wszystkich kierunkach, unosząc ze sobą wszystko, co tylko napotkał na drodze. Śnieg rozwiął się natychmiast, a srebrne widelce, uniesione w górę, zawisły w niebie jak gwiazdy. Zrobiło się bardzo zimno. Spojrzałem na pana Kleksa i w pierwszej chwili nie poznałem go wcale. Przeistoczył się w bałwana ze śniegu i wesoło podśpiewywał:

Jedzie mróz, jedzie mróz.

Wieżie śniegu cały wóz!



Czyż nie domyśliliście się jeszcze, że był to guzik od cudownej czapki bogdychanów, cudowny guzik doktora Paj Chi Wo, mający przywrócić Mateuszowi jego książęcą postać? Czyż nie przyszło wam dotychczas na myśl, że pan Kleks był owym guzikiem, który doktor Paj Chi Wo przeobraził w człowieka?

Jeżeli chodzi o mnie, uprzytomniłem sobie to dopiero wówczas, gdy dostrzegłem stopniowe przemiany Mateusza. Począł on mianowicie pęcznić i powiększać się. Skrzydła jęły pomału przybierać kształt ludzkich ramion, nogi wydłużyły się, na miejscu dzioba zaznaczyły się zarysy twarzy.

Przybierając coraz bardziej na wzroście, Mateusz już po kilku minutach stał się większy ode mnie. Zanim zdążyłem zdać sobie sprawę z zachodzących w mych oczach wydarzeń, ujrzałem przed sobą wytwornego pana w wieku lat czterdziestu, o włosach przyprószonych lekką siwizną.

Skłoniłem się przed nim nisko i rzekłem:

– Cieszę się, że mogę powitać Waszą Książęcą Mość. Sądzę, że Wasza Książęcą Mość zasiądzie niebawem na tronie swojego ojca.

Przemówienie moje nie bardzo było udane, ale przecież nie miałem nawet czasu, aby je sobie obmyślić i przygotować. Mateusz, prze-



obrażony w człowieka, wysłuchał mych słów z powagą, a potem nagle roześmiał się serdecznie, pogłaskał mnie po twarzy i rzekł:

– Kochany chłopcze! Nie jestem żadnym księciem. Po prostu opowiedziałem ci bajkę, a tyś uwierzył w jej prawdziwość. Historia o królu wilków była przeze mnie zmyślona.

– No, a książkę? A doktor Paj Chi Wo? – zapytałem zdziwiony.

– Bajka zawsze jest tylko bajką, mój chłopcze – odrzekł z uśmiechem.

– Kim więc jesteś, Mateuszu? Co to wszystko ma znaczyć?! – zawołałem, gubiąc się już zupełnie.

– Jestem autorem historii o panu Kleksie – odparł szpakowaty pan.  
– Napiisałem tę opowieść, gdyż ogromnie lubię opowieści fantastyczne i pisząc je, sam bawię się znakomicie.

Z tymi słowy wziął ze stołu otwartą książkę, która tam leżała, zamknął ją i wstawił do biblioteki obok innych bajek.

Na grzbiecie tej książki widniał napis:

## Akademia Pana Kleksa



# Spis treści

<i>Ta oraz inne bajki</i> .....	5
<i>Niezwykła opowieść Mateusza</i> .....	14
<i>Osobliwości pana Kleksa</i> .....	25
<i>Nauka w Akademii</i> .....	37
<i>Kuchnia pana Kleksa</i> .....	49
<i>Moja wielka przygoda</i> .....	61
<i>Fabryka dziur i dziurek</i> .....	73
<i>Sen o siedmiu szklankach</i> .....	83
<i>Anatol i Alojzy</i> .....	99
<i>Historia o księżycowych ludziach</i> .....	109
<i>Sekrety pana Kleksa</i> .....	121
<i>Pożegnanie z bajką</i> .....	131







## Nazywam się Adam Niezgódka,

mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdażyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na sam mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdażyłem ich dotknąć. Nie znosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa.

**K** Kolorowa  
Klasyka

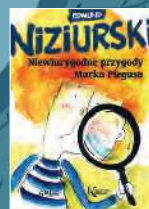
ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków [www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Skompletuj całą serię Kolorowa Klasyka:

ISBN 978-83-7517-446-5



9 788375 174465



i inne tytuły.